Rok 1935. 8 grudnia Nr. 50

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO”
pod redakcją Eli Oleskiej.

Na Roraty.

Weszliśmy już od tygodnia w poważny okres Adwentu, który oznacza czas oczekiwania przed dwoma tysiącami lat na przyjście Zbawiciela świata

O wczesnym świcie grudniowym, kiedy właściwie jeszcze nocna ciemność zalewa ziemię, dążą — jak kraj nasz długi i szeroki — gromady ludzkie do świątyń na ukochane nabożeństwo roratne. Po miastach puste i ciche zwykle o tej porze ulice napełniają się gwarem śpieszących do kościoła z całej najbliższej okolicy.

Po wsiach do takiego jednego kościoła dążą nietylko mieszkańcy tej wsi, w której jest kościół, ale i z dalekich, gdzie niema świątyni, gdyż wszyscy pragną uczestniczyć w tej przepięknej rannej Mszy św. na cześć Najświętszej Marji Panny. Nie żałują więc wieśniacy trudu, i pomimo mrozu, błota czy śniegu, niekiedy w noc czarną, wśród ostrej wichury, śpieszą poprzez pola i drogi pełne grud, do odległego kościółka. Zda się nieraz, że uboga świątyńka wiejska nie zdoła pomieścić tego tłumu okutanego w grube kożuchy i chusty, co ciśnie się poprzez wąskie wejście z tupotem ciężkiego na nogach obuwia. Z setek ust bucha para, ale wkrótce od tego tłumu ogrzewa się wnętrze kościoła, że niejednemu już i za ciepło się robi w baraniem futrze.

Wszystkich oczy zwrócone ku ołtarzowi, gdzie wysoko ponad innemi góruje najwyższa, siódma świeca, wyobrażająca Przeczystą Dziewicę. To dla Niej właśnie, to na Jej cześć odbywa się świtową godziną to piękne, umiłowane przez lud polski, nabożeństwo.

Ileż to już razy niejeden gospodarz czy gospodyni przeżywali w swojem życiu miłe Roraty, a przecież co roku są one dla nich jakby nowe i chociaż starość przygarbiła niejednemu plecy, niktby się ich nie wyrzekł za nic w świecie. A za starszymi w ślad śpieszy i młodzież, bo któżby chciał zostawać w chacie, kiedy tam w kościele, chociaż noc jeszcze do spania zachęca, grzmią organy starą pieśnią roratną „Spuśćcie nam na ziemskie niwy Zbawcę z niebios, obłoki!...“ Ba, nawet i dzieci, niech jeno posłyszą ruch w izbie, przecierają zaspane oczy, zrywają się czemprędzej z ciepłej pościeli, wdziewają swe liche ubrańka, grube, twarde bucięta na bose niekiedy nogi, nie myśląc o tem, że zziębną im wkrótce jak kaczan kapusty zostawiony w polu.

Depcze potem taki pędrak jeden z drugim przy boku matki, uczepiwszy się jej spódnicy, potykając się co krok na grudzie czy kamieniu przydrożnym.

A ileż razy głośnym szlochem zatrzyma matkę, która musi mu własnym tchem rozgrzewać zmarznięte okrutnie rączyny. Ale kiedy się tylko znajdzie w kościele, zapomina o wszystkiem i uwolniwszy głowę z otulających chust, przepycha się odważnie przez gęsty tłum, aby znaleźć się tam, tam gdzie najjaśniej, gdzie najbliżej Tego, który — jak mówi matuś czy stara babula

— czeka w maleńkiej szafeczce na ołtarzu, by właśnie najczulej pobłogosławić tulące się doń dzieci.

Skończy się nabożeństwo, lud wysypuje się z kościoła i na wszystkie strony rozchodzą się gromadki, śpiesząc z powrotem do opuszczonych chat. Niepotrzebne już latarki, które przedtem oświecały drogę, bo dzień jasny, chociaż słońca nie widać jeszcze na niebie.

I tak mijają szybko cztery tygodnie Adwentu, a z nim i Roraty, aby wreszcie w oczekiwaną niecierpliwie północ Wigilji, ogłosiły organy radosną kolędę, że Bóg się narodził.

Z życia sokołów.

Jednym z najciekawszych ptaków drapieżnych jest sokół, a to z tego powodu, że mimo swej dzikości, która by mu nakazywała tak, jak jego licznym pobratymcom, orłom, sępom, jastrzębiom i t. p, żyć na swobodzie, on po części stawał się ptakiem domowym. Oczywiście, tyczy to się tylko tych, które — złapane — dały się oswoić, a potem służyły swym panom w czasie łowów.

W średnich wiekach, kiedy to sprowadzano je głównie z Islandji i Skandynawji, żadne polowanie nie mogło się odbyć bez sokoła. Wolno było jednakże posługiwać się niemi tylko szlachcie, możnym panom i książętom. Na każdym dworze pańskim byli specjalni łowcy, którzy posiadali sztukę oswajania i przygotowywania sokołów do łowów. Do dziś dnia używane są one jeszcze w północnej Afryce, w Persji i Arabji, gdzie każdy naczelnik plemienia posiadał kilka sokołów. A bywały one tam tak wyćwiczone, że przy ich pomocy łowiono nawet tak duże zwierzęta, jak antylopy, dziki i lisy. Wogóle na Wschodzie sokoły cieszyły się wielkiem poważaniem.

Między naszymi uczonymi, którzy studjują życie ptaków, a w szczególności drapieżców, prof. Sokołowski z upodobaniem zajmuje się sokołami. Obserwował on raz parę sokolą, która obrała sobie siedzibę w opuszczonem gnieździe myszołowów na wysokiej sośnie. Ile razy przybliżył się ktoś do sosny z gniazdem, natychmiast samica zaczynała z przeraźliwem krakaniem okrążać niebezpiecznego w jej mniemaniu wroga; gdy samiec, który jest mniejszego wzrostu, zachowywał się przezorniej, latając na znacznej wysokości i bez tak głośnego niepokoju. Może rozumiał on, że nie należy zdradzać ludziom obecności gniazda, w którem przecież schron znajdują niedołężne jeszcze pisklęta.

Profesor chciał koniecznie obserwować życie sokołów w samem gnieśdzie. Wybrał więc sąsiednią sosnę, jeszcze grubszą i wyższą, i tam usadowił się w odpowiednio urządzonym schowku, który w przedniej ścianie miał otwór dla ustawienia aparatu fotograficznego. Wszystko okryte zielenią, wyglądało jak drugie gniazdo, tylko o wiele większe od tamtego, prawdziwego.

Wiedząc o tem, że ptaki drapieżne karmią swoje małe nie często, bo zaledwie dwa, trzy razy dziennie, znalazł się profesor w swojem gnieździe już o piątej godzinie rano. Ku jego wielkiemu żalowi, gdyż chciał koniecznie widzieć chwilę karmienia, ujrzał na gnieździe odpoczywające już po nażarciu się młode cztery sokoliki. Leżały leniwie obok siebie, przytulone wzajemnie, gdyż ranek był chłodny. Wyglądały jak duże pęki waty i trudno było odróżnić gdzie właściwie mieści się głowa, a gdzie ogon każdego ptaka. Dokoła mnóstwo było piór, części skrzydeł i nóg biednych ofiar żarłoczności sokolej.

Dopiero gdy słońce, wzniósłszy się wyżej, rzuciło promienie swego światła na gniazdo, przekonał się uczony, że młode były już sporej wielkości. Ogrzane słońcem, podniosły się z legowiska i zaczęły poranną toaletę, doprowadzając do porządku swoje upierzenie. Z pośród białego puchu przeglądały im już na skrzydłach długie lotki, a w ogonie sterówki. Biegały też zręcznie po gnieździe, a niekiedy trzepotały szybko skrzydłami. Były chwile, że profesor obawiał się, iż niektóre z nich wśród żywych ruchów czy biegu, przewali się przez krawędź gniazda, lecz każde w porę umiało się zatrzymać i uniknąć upadku, w którym straciłoby życie. Chociaż ieszcze z pewnością nie zdołały strawić obfitego śniadania, kiedy teraz ojciec przyniósł złowionego gołębia, rzuciły się znowu chciwie i porywały kawały nieszczęsnej zdobyczy.

Wszystkie takie i tym podobne wiadomości o życiu w świecie zwierzęcym zawdzięczamy uczonym, którzy wiele poświęcać muszą trudu, aby przyrodzie wydrzeć starannie ukrywane tajemnice. Bez tych niezmordowanych pracowników wiadomości nasze o niej byłyby bardzo skąpe i niedokładne.

(r. l.)



Pyszna będzie legumina —
Jak niejedna świadczy mina.
Bo gdzie Zosia, Irka, Hala
Palce, buzię, nosek zwala,
A do tego Rózia, Kasia,
Klimcia, Renia, Stefcia, Basia,
Doda słówko swej porady,
By uniknąć wszelkiej wady
W trudnej sztuce gotowania, —

Tam już nawet panna Mania
Przyzna dzieciom, że kucharki
Z nich są świetne „pierwszej marki".
Teraz tylko trzeba kota,
(Chociaż to zbój i niecnota),
Pieska Kruczka, lalki Lili,
Ot i wszyscy goście mili
Wnet zasiądą do biesiady
Wśród radości i parady.

Zdrada ślepca.

OPOWIEŚĆ. Napisał Bronisław Mazowiecki

(Ciąg dalszy.)

— Toteż Wandycz widząc, że w takich czasach niema co zaczynać ze swym wynalazkiem. pojechał do Ameryki i zawiózł próbki.

— No, Amerykanie napewno wyzyskają doskonale jego pomysł — wtrąciła Marja — i oni zarobią i wynalazcy dadzą się wzbogacić.

— A czy wiesz, co mi Wandycz powiedział na wyjezdnem?... Za pierwsze pieniądze, jakie mu „Trans" przyniesie, sprawi powstańcom armaty.

— A, to mi się podoba! To patrjota z niego! Armat nigdy nie zawiele.

— Gdybyś była słyszała, Maryniu, jak się stary Szymon oburzał za to na zięcia!

— Jakto, więc Górka nie sprzyja sprawie wolności własnej ojczyzny, nie pragnie naszego zwycięstwa?

— Nie zapominaj, córko, że stary ślepiec wogóle wojny potępia, pragnąc, by wszystkie narody żyły z sobą w zgodzie.

Wśród takiej rozmowy obie kobiety już się na dobre rozgospodarowały w szopie rozjaśnionej światłem latarki.

Wtem Brandowska zajrzała do podobnej szopy, stojącej na drugim końcu podwórza bliżej mieszkania Górki i zauważywszy, że w niej panuje, cisza i ciemność, zawołała do córki:

— Poczekajno, Maryniu, ja pobiegnę w sąsiedztwo, żeby się spytać. kiedy ten jenerał ma przyjechać, bo widzę, że w ich szopie niema nikogo

Dokądże oni się przenieśli?

Dom Szymona Górki składał się z dwu odrębnych mieszkań. Wprost z gościńca wiodła większa brama na rozległy dziedziniec. W jego głębi widniały drzwi do mieszkania niewidomego Górki, jego zięcia i wnucząt. Po przeciwnej stronie domu znajdowało się mniejsze mieszkanie, zajmowane przez Brandowską z małem podwórkiem, z którego furtka wychodziła na boczną uliczkę.

W ten sposób obie rodziny mogły się z sobą nigdy nie spotykać, gdy nie chciały, ponieważ wewnątrz domu pokoje obu mieszkań nie miały połączenia. Jeżeli jednak zachodziła potrzeba, można było z jednego podwórza na drugie dostać się niskim przełazem w płotku wiklinowym.

Tędy właśnie weszła teraz matka Dąbrowskiej ze swej szopy na ów drugi dziedziniec, gdzie stała podobna szopa dla użytku Górków obok murowanego śpichlerza. Podbiegła pod oświetlone okno i zajrzała przez nie w głąb pokoju.

— A to co takiego! — mruknęła do siebie — oni wszyscy jeszcze w domu.

Istotnie, przy świetle siedział tu stary Górka w krześle z poręczami, a na niskim stołeczku u stóp Szymona, ukochana wnuczka jego, trzynastoletnia Anusia czytała na głos z Ewangelji wybrane przez dziadka ustępy.

W drugim kącie drzemała już, widocznie całodzienną krzątaniną znużona Julka, daleka ich krewna, siedmnastoletnia dziewczyna, używana tu do cięższych posług i pomocy Anusi, która mimo swoich lat dziecinnych, od śmierci matki zajmowała się już całem gospodarstwem.

Pod oknem siedzieli dwaj chłopcy, piętnastoletni bracia Anusi, a synowie Henryka Wandycza. Byli to bliźniacy i z tego powodu tak do siebie podobni, że trzeba było zawsze ubierać ich odmiennie, żeby właśni rodzice mogli odróżnić Piotrusia od Pawełka. Obcy a znajomi mimo to nigdy nie wiedzieli, co im powiedział Piotr, a co skłamał Paweł, chyba że im naprzód ktoś z domowników oświadczył, który z chłopców ma tego dnia kurtkę niebieską, a który czerwoną.

Dziadek tylko, nie mogąc ich widzieć, umiał poznawać ich po głosie, a kiedy wnuki przypadły mu do kolan, odróżniał Pawełka od Piotrusia, skoro tylko rękę któremu położył na głowie, Piotr bowiem miał w chłopięcej czuprynie włos miękki, a Paweł twardszy.

(C. d. n.)

Szarady, zagadki, dla naszej gromadki.

SZAR|AD|A.

Pierwsze-drugie pośród warzyw
Rośnie sobie, z każdem w zgodzie,
Zato pierwsze z trzeciem w parze
Woli łąkę na swobodzie.
Całe zazdrość Niemców budzi,
Bo by chcieli sławnych ludzi
Wszystkich sobie wziąć na własność.
Lecz nie darmo wciąż na baczność
Stoi Polska — i nikomu
Zabrać nie da z swego domu
Tego, co jest jej bezsprzecznie.
Cały polskim będzie wiecznie.
Długo w błędzie ludzkość żyła,
Póki się nie objawiła
Prawda czysta z ust genjusza:
To sie tylko „ona rusza".
Wiecej już nie powiem słowa,
Bo to i tak rzecz nie nowa.

Rozwiązanie szarady z nr. 48-go.

Powie — wie — wietrze. POWIETRZE.